

# Wielki, ale nie jedynie jako Szu

Jan Nowicki, jeden z ostatnich gigantów XX wieku, zmarł w wieku 83 lat niedaleko rodzinnego Kowala na Kujawach.

JACEK CIEŚLAK

Gwiazdę złotej ery Starego Teatru w Krakowie oraz spektakli Andrzeja Wajdy, Konrada Swinarskiego, Zygmunta Hübnera, Jerzego Jarockiego, filar Piwnicy pod Baranami, a ostatnio pisarza Polacy uwielbiają przede wszystkim za „Wielkiego Szu” Sylwestra Chęcińskiego.

Zagrał w tym filmie wychodzącego z więzienia szulera. Wystawiła go do wiatru żona, więc rusza po wielką kasę w peerelowski świat prywaciarzy, drogich samochodów, pięknych kobiet. Tytułową kreację Nowicki przeniósł później do wielu filmów, ale niektórzy zdziwią się, gdy przypomnę, co wielki aktor mówił o swojej najsłynniejszej postaci, choć trzeba pamiętać też, że był mistrzem kokieterii.

– Wiem, że zwłaszcza dla taksówkarzy, którzy mnie wożą, moimi największymi dokonaniem są „Wielki Szu” lub „Sztos”. A ja w wielu filmach zagrałem naprawdę tylko po to, żeby spotkać się na planie z atrakcyjną partnerką lub pojechać w nieznane miejsce. Bo kino jest prostackie. Na jednej kartce można spisać, o co tam chodzi.

## Klasa mercedesa

Był królem życia i pięknie o nim mówił:

– Zaczniemy od tego, że życie jest karnawalem, podczas którego odbywamy taniec ze śmiercią w tle (...) Słuchaj, tak naprawdę jest coraz piękniej. I nie jest to optymizm rozpaczny. Pan Bóg dał trochę zdrowia, trzeba je wykorzystać. Przecież do grobu go nie zabiorę. Jak się ma trochę zdrowia, trzeba je zniszczyć! (...) W głębokim impasie znajdują się ludzie uważający, że są starzy, a głupio myślą ci, co sądzą, że są młodzi. Nie można być buchalterem, który nie wiadomo, jaką liczbę ról chce zagrać, byle tylko zaistnieć – opowiadał. – Jest w tym coś niesłychanie nieeleganckiego. W życiu trzeba wszystkiego spróbować. Nie dbałem o pieniądze, mieszkania, przywileje. Mnie i moich rówieśników interesował ludzki zachwyt nad pięknem.

Zawsze żył jak człowiek wolny, który wybiera to, co lubi i szanuje, a odrzuca to, czego



Jan Nowicki z Leonem Niemczykiem w „Wielkim Szu” Sylwestra Chęcińskiego z 1983 r.

nie chce. Jego towarzystwo było skarbem, gwarancją niesamowitej rozmowy i przygody. Teraz miał wielkie szczęście wybrać miejsce śmierci: Krzewenty nieopodal Kowala na Kujawach, gdzie się urodził w 1939 r. W minioną sobotę brał tam udział w promocji książki „120 lat Ochotniczej Straży Pożarnej Królewskiego Miasta Kowala na Kujawach”.

Lokalne media piszą, że z tej okazji włożył na tę uroczystość mundur strażacki. Dodajmy, że dla niego i miłośników wielkiej sztuki był to również kostium przypominający kreację w „Sanatorium pod Klepsydrą” Wojciecha Hasa, światowej sławy arcydzieło polskiego kina z 1973..

Jan Nowicki podkreślał, że ta rola dała mu rozpoznawalność na całym świecie. I podkreślał wysoką rangę takich jak on artystów, wywodzących się ze Starego Teatru w Krakowie, a także Piwnicy pod Baranami:

– Tworzyliśmy wtedy nie europejski, lecz światowy teatr! To była taka paka, że łeb odpadał. I w tej pace każdy miał coś do zagrania. Nikt nikomu nie następował na pięty. Swoją działkę miał Wojtek Pszoniak, a jak odszedł, przyszedł Jurek Stuhr. Byli Wiktor Sadecki, Anna Polony, Anna

Seniuk, Jerzy Bińczycki, Jerzy Trela, Marek Walczewski, trochę ja. Każdego roku 14 wielkich premier. Jednocześnie graliśmy „Biesy”, „Noc listopadową” Wajdy oraz „Wyzwolenie” i „Dziady” Swinarskiego. Wszyscy siedzieli w jednej garderobie, statysta obok gwiazdora, nikt nie miał swoich pokoi ani leżanek. Piliśmy tę samą wódkę, klepaliśmy tę samą biedę, jeździliśmy trabantami, ale mieliśmy klasę mercedesów. A teraz jest odwrotnie.

On, który zagrał spektakularnie w „Magnacie” Filipa Bajona księcia Hansa Heinricha XV von Teuss, zawsze podkreślał, że aktorstwa uczył się na początku w Kowalu, gdzie było wiele teatrów:

– Nauczycielski, dzięki któremu poznałem całego Fredrę, a w kościele odbywały się jasełka. Ale były też niezwykle teatry dramatyczne ochotniczej straży pożarnej, pożarów oraz pogrzebów. Ogromne wrażenie robiła na nas syrena strażacka. Nasza klasa w szkole podstawowej mieściła się szczęśliwie na parterze, a kiedy było lato, a okna otwarte, gdy syrena zawyła w mieszczącej się obok remizie, nie miało znaczenia, jaka jest lekcja: wyskakiwaliśmy przez okna i za-

den nauczyciel nie mógł nas zatrzymać. Gnaliśmy do pożaru, żeby go zobaczyć, żeby to przeżyć. A obok nas gnały strażackie konie, ciągnące ręczne pompy na wozie. Dramaturgii pogrzebów w Kowalu oraz tego, co przeżyłem na ascetycznym protestanckim pogrzebie Jerzego Pilcha w kieleckim zborze, nie da się porównać. W Kowalu były

Ptaki z małych gniazd muszą być mocne, bo duże miasta to są złote klatki

przemówienia, orkiestra strażacka.

Na profesjonalnej scenie debiutował w Starym Teatrze w „Wariatce z Chaillot” w 1964 r. w reżyserii Zygmunta Hübnera, potem była rola u Konrada Swinarskiego i kreacja, która stała się przepustką na aktorski Parnas: Artur w „Tangu” Sławomira Mrożka w inscenizacji Jerzego Jarockiego w parze z Anną Seniuk.

Podbił aktorską licytację kreacją Stawrogina w „Biesach” Dostojewskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy w 1971 r., trzy lata później zagrał u niego demonicznego Wielkiego Księcia w słynnej muzycznej interpretacji „Nocy Listopadowej” Wyspiańskiego.

W 1977 r. wywindował swoją aktorską pozycję jeszcze wyżej rolą Rogożyna w „Nastazji Filipownej” również Wajdy, także w Starym Teatrze – objeżdżając tym legendarnym spektaklem cały świat. Ostatnią teatralną rolę zagrał w Starym w przedstawieniu „Biesy. Spektakl o picu herbaty” Pawła Miśkiewicza w 2021 r.

Równolegle rozwijała się jego kariera filmowa. Pierwszym ważnym filmem były „Popioły” Andrzeja Wajdy z 1965 r. Zagrał również Ketlinga w kinowej wersji „Pana Wołodyjowskiego” u boku Tadeusza Łomnickiego. Wystąpił w „Zygfrydzie” i „Magnacie” Filipa Bajona.

Słynął również z głośnych związków z kobietami, m.in. węgierską reżyserką Mártą Mészáros, u której grał często, a najbardziej cenił sobie rolę w „Niepochowanym” (2004). Zagrał w tym filmie minimalistycznie – uwięzionego przez stalinowców bohatera węgierskiego powstania w 1956 r. Imre Nagya.

– To jest moja najlepsza rola. Ale nikt jej u nas nie widział i nigdy nie zobaczy, bo polskiej premiery dwa lata po ukończeniu filmu dotąd nie było. Zagrałem w węgierskim filmie premiera Imre Nagya, rozstrzelanego po powstaniu węgierskim. Kreatywnie jak De Niro. Przytyłem 20 kilo.

Pod koniec życia chwycił za pióro. Pisał gęsto, ze swadą, często autobiograficznie. Wydał m.in. „Między niebem a ziemią”, „Białe walce”, „Stracone pokolenia”. Mówił o sobie jak zwykle z dystansem:

– Oczywiście, nie mam złudzeń: wydawnictwa stawiały na mnie, bo jako aktor całym swoim życiem zapracowałem na tak zwaną rozpoznawalność, a poza nią cieszyłem się też opinią skandalisty.

Pod koniec życia mieszkał w Kielcach, będąc ziomkiem znajomego z krakowskich lat Jerzego Pilcha.

Zaprzeczał, że jest krakauerem, ale mówił mi też tak:

– Jak przyjechałem do Krakowa, widziałem klepsydry informujące o mszach świętych

za duszę Stanisława Wyspiańskiego i Lucjana Rydla. I dzięki temu nie przewróciło się nam w głowie, wiedzieliśmy, że czas się od nas nie zaczyna. My do tradycji staraliśmy się dołożyć swoją cegiełkę. Wierzę też w fenomen małych miast. Ptaki, które wyfruwają z małych gniazd w wielki świat, muszą być mocne. Bo duże miasta to są złote klatki i drogi zbyt łatwe. Kiedy ja, chłopiec z małego miasteczka, przyjechałem do Krakowa, uznałem za swój pierwszy finansowy sukces to, że mogłem kupić nie jedną, ale dwie fasolki po bretońsku, w dawnym barze Piccolo, naprzeciw Starego Teatru. To było i jest dalej moje bogactwo.

## Odfruwają chłopcy

Okolicę, gdzie zmarł, kochał wyjątkowo. Podkreślał, że to Kowal na Kujawach, gdzie urodził się Kazimierz Wielki, oraz wieś Krzewent, gdzie mieszkał. Pokazywał ją na zdjęciach. Wspaniały widok z okna na jezioro i krótką kładkę nazywał swoim lustrem.

– Siedzę na tarasie, piję piłsnerka. Widzę, jak ktoś z okolicznych kosi trawę. To krzyczy do niego: chodź do mnie! Co będziesz kosił, piwka się napijemy.

W jego książce „Moje psie myśli” sporo było wątków funeralnych. Wspominał o „pieczarze”, czyli grobie.

– Śmiało mogę powiedzieć, że zjawisko śmierci porusza mnie i towarzyszy od samego początku. Nawet jeśli brzmi to pompatycznie. Pamiętam trupy z okresu wojny, bo urodziłem się w 1939 r. Miałem pięć lat, gdy widziałem wielu zabitych Niemców. Gdy nie było ich gdzie chować, umieszczano żołnierzyków w wielkiej szopie, gdzie leżeli zamarnięci na sopel. Były wtedy potężne mrozy... Nie wiem, czy to można powiedzieć, ale na jednym z takich Niemców... zjechaliśmy kiedyś jak na sankach. To są fakty! Dziecko przyjmuje śmierć z przerażeniem, ale także z poczuciem wielkiej atrakcji. Wojna czyni potworów nie tylko z dorosłych, także z Bogu ducha winnych dzieci.

O odchodzących przyjaciółach powiedział:

– Odfruwają chłopcy. A ja wciąż tutaj – na płocie.

Odfrunął i on, zawsze wolny ptak. Pewnie tak chciał. /©©